

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



GEORGE SAND

GRZECH PANA ANTONIEGO

TOWER PRESS, 2001

TOM PIERWSZY

I

EGUZON

Mało jest we Francji miejscowości równie ponurych jak miasteczko Eguzon, położone na pograniczu Marche i Berry, na południowo-zachodnim krańcu tej ostatniej prowincji. Osiemdziesiąt, a co najwyżej sto domów, mniej lub więcej nędznego pozoru (z wyjątkiem dwóch czy trzech, których zamożnych właścicieli nie wymieniamy w obawie urażenia ich skromności), tworzy dwie czy trzy ulice i otacza rynek miasteczka, słynącego w promieniu dziesięciu mil z pieniactwa jego mieszkańców oraz z trudnego tam dostępu. Pomimo tej ostatniej niedogodności, która zresztą zniknie niebawem dzięki wytyczeniu nowego gościńca, Eguzon często odwiedzają podróżni, jeśli odważnie przebrną otaczającą je okolicę i zaryzykują jazdę kariolką po jego straszliwym bruku. Jedyna oberża stoi przy jedynym placu, tym obszerniejszym, że graniczy on ze szczerym polem i zdaje się oczekiwać na nowe siedziby przyszłych mieszczan, zaś oberżysta zmuszony jest niekiedy latem zachęcać zbyt licznych przybyszów, by lokowali się w sąsiednich domach, które, przyznać to trzeba, z wielką gościnnością otwierała przed nimi podwoje. Eguzon bowiem położone jest w samym sercu malowniczej okolicy usianej okazałymi ruinami i czy kto chce zwiedzić Châteaubrun, Crozant, la Prugne-au-Pot, czy wreszcie istniejący jeszcze i zamieszkały zamek Saint-Germain, musi z konieczności przenocować w Eguzon, aby nazajutrz rano wyruszyć na jedną z tych wycieczek.

Przed kilku laty, w pewien parny i duszny wieczór czerwcowy, nieco po zachodzie słońca, mieszkańcy Eguzon otworzyli szeroko oczy na widok dobrze się prezentującego młodzieńca, który przejeżdżał przez rynek z zamiarem opuszczenia miasta. Zbierało się na burzę, zmrok zapadał wcześniej niż zwykle, a jednak młody podróżny, po spożyciu lekkiego posiłku w oberży i popasaniu tam ściśle tak długo, ile było potrzeba, aby dać wytchnąć koniowi, śmiało skierował się na północ, nie zważając na perswazje oberżysty i zdając się lekceważyć niebezpieczeństwa, jakie mogły go czekać w drodze. Nikt go nie znał; na pytania odpowiadał tylko zniecierpliwionym wzruszeniem ramion, a na przestrogi – uśmiechem. Kiedy stukot podków jego wierzchowca przebrzmiał w oddali, odezwały się głosy miejscowych próżniaków:

– Musi to być młodzieniec, który dobrze zna drogę lub też nie zna jej wcale. Przejeżdżał tędy sto razy i zna tu każdy kamień albo nie domyśla się, jak rzeczy stoją, i może się znaleźć w kłopotcie.

– To przybysz nie z tych stron – orzekł rozsądnie pewien domyślny człowiek – nie chciał nikogo słuchać; ale za pół godziny, gdy zerwie się burza, zobaczycie, że tu wróci.

– Jeśli nie skreśli pierwszej karku zjeżdżając z mostu des Piles – zauważył trzeci.

– Ha, trudno – odrzekli chórem obecni – to już jego rzecz! Chodźmy zamknąć okiennice, żeby czasem grad nie potłukł nam szyb.

Rozległ się w całym miasteczku huk zatraskiwanych w pośpiechu drzwi i okien, podczas gdy wiatr, który zaczynał już wyć w zaroślach, prześcigał w szybkości zadyszane służące, odrzucając im w nos skrzydła ciężkich drewnianych okiennic, na które miejscowi rzemieślnicy, zgodnie z tradycjami przodków, nie szczędzili ani dębiny, ani żelastwa. Od czasu do czasu jakieś głosy nawoływały się poprzez ulicę; krzyżowały się krótkie, rzucane od progu pytania i odpowiedzi:

– Wszystkoście już sprzątnęli?

– Gdzie zaś! Zostało jeszcze ze dwie fury!

– A ja mam ze sześć fur nieskoszonych.

– Mnie tam nic nie obchodzi, zwiozłem wszystko do stodoły.

Chodziło o siano.

Podróżny, dosiadający doskonałego konika z Brenne, pozostawił za sobą ciężkie chmury i przyspieszając tempa pochlebiał sobie, że wyprzedzi w wyścigu burzę; ale na raptownym zakręcie drogi zrozumiał, że nie uda mu się uniknąć flankowego uderzenia. Rozwinął więc płaszcz przytroczony do tłumoczek, zacisnął pod brodą pasek od czapki i spiąwszy konia ostrogami rozpoczął nowy wyścig, spodziewając się chociaż za dnia przebyć niebezpieczne miejsce, o którym go uprzedzano. Zawiodły go jednak rachuby; droga okazała się tak ciężka, że zmuszony był przejść w stępa i ostrożnie prowadzić konia poprzez rozsypane pod nogami głazy. Kiedy znalazł się nad wąwozem rzeki Creuse, chmury powlokły już całe niebo, zapanowały zupełne ciemności i jedynie po głuchym, jakby dochodzącym spod ziemi szumie potoku mógł osądzić, jak głęboka jest przepaść, wzdłuż której się posuwa.

Lekkomyślny, jakim się bywa mając lat dwadzieścia, młodzieniec nie zważał na przezorne wahanie swego wierzchowca i zmuszał go do ryzykownego zstępowania ze stoku, który za każdym krokiem stawał się bardziej wyboisty i stromy. Lecz koń nagle stanął, rzucił się w tył potężnym ruchem krzyża; wstrząs był tak silny, że jeździec zachwiał się w siodle i przy świetle błyskawicy dojrzał, że znajduje się na samym skraju prostopadłej przepaści: jeszcze jeden krok, a byłby się niechybnie znalazł na dnie rzeki.

Deszcz zaczął padać i wściekła nawałnica wstrząsała wierzchołkami starych kasztanów rosnących przy drodze. Ów wiatr zachodni spychał właśnie jeźdźca i konia ku rzece i niebezpieczeństwo stawało się tak oczywiste, że podróżny zmuszony był zsiąść z konia, by uchronić się nieco przed wiatrem i móc lepiej powodzić wierzchowcem w ciemnościach. Fragment krajobrazu, który zdołał dostrzec w świetle błyskawicy, wydał mu się wspaniały, zresztą sytuacja, w jakiej się znalazł, schlebiała właściwemu młodości upodobaniu do przygód.

Następna błyskawica pozwoliła mu zapoznać się lepiej z krajobrazem, skorzystał zaś z trzeciej, by oswoić wzrok ze swym bezpośrednim otoczeniem. Droga była dość szeroka, ale właśnie owa szerokość utrudniała posuwanie się po niej. Składało się na nią chyba ze sześć ledwie przetartych drózek znaczonych tylko śladami kopyt końskich i koleinami wozów; tworzyły one całą sieć szlaków krzyżujących się jakby przygodnie na stoku wzgórza; że zaś nie było tu ani żywopłotów, ani rowów, ani żadnego śladu ludzkiej ręki, ziemia wydała więc swe оголоcone zbocza na pastwę przechodniów, którzy wdrapywali się na wzgórze, jak kto mógł; tak więc o każdej porze roku żłobiono tam nowe ścieżki lub powracano do dawniejszych, stwardniałych i zarośniętych drózek. Pośród tych kapryśnych ścieżyn wznosiły się pagórki nastroszone głazami lub kępami krzewów, czego w ciemnościach niesposób było rozpoznać, a że krzyżowały się na różnej wysokości, trudno było przejechać z jednej na drugą

nie narażając się na potknięcie, które mogło pociągnąć we wspólną przepaść, wszystkie bowiem te ścieżki biegły wzdłuż stromej ściany wąwozu. Ściana zaś owa była nie tylko pochylona ku przodowi, lecz również spadzysta z jednego boku; należało więc iść nie tylko zgiętym naprzód, lecz i przechylonym w lewą stronę. Niełatwo było posuwać się którymkolwiek z tych krętych szlaków, gdyż latem wszystkie były jednako wydeptane, okoliczni mieszkańcy bowiem w biały dzień szli tędy lub owędy, bez wyboru; jednakże w ciemną noc pomyłka nie była rzeczą obojętną i młodzieniec, któremu droższe były nogi ulubionego konia niż własne życie, postanowił schronić się za skałą dość wysoką, by osłonić przed gwałtownym wiatrem siebie i wierzchowca i poczekać, aż niebo trochę się przejaśni. Oparł się o Kruka i podnosząc połę nieprzemakalnego płaszcza, by ochronić bok i siodło wiernego towarzysza, pogrążył się w romantycznym marzeniu; wbrew przypuszczeniom mieszkańców Eguzon, jeżeli pamiętali jeszcze o nim w tej chwili, nie tylko nie odczuwał zawodu ani zatroskania, lecz przeciwnie, rad słuchał ryku rozszalałej burzy.

Następujące po sobie często błyskawice pozwoliły mu niebawem zapoznać się dostatecznie z otaczającą go okolicą. Na wprost niego droga biegła wzdłuż przeciwległej ściany wąwozu i wspinała się równie stromo, jak poprzednio opadała, i przedstawiała trudności podobnej natury. Rzeka Creuse, przezroczysta i potężna, płynęła dość cicho w dole przepaści, po czym z głuchym, przeciągłym wyciem przeciskała się pod łukami starego, zrujnowanego mostu. Załom przeciwległej skarpy przesłaniał widok, ale z boku otwierała się perspektywa połogich, bujnych łąk, pośród których wiła się rzeka; na wprost zaś naszego młodzieńca, na szczycie najeżonego potężnymi głazami i porośniętego bujną roślinnością pagórka, widać było wznoszące się strzeliste, poszczerbione wieże obszernej, na wpół zrujnowanej siedziby. Gdyby jednak podróżnemu przyszła myśl schronienia się tam przed burzą, trudno byłoby mu do niej trafić; nie było bowiem widać najmniejszego śladu łączności owego zamku z gościńcem, drugi zaś wąwóz, przez który przepływał drugi potok, wpadający do Creuse, przedzielał oba wzgórza. Miejsce to było niezmiernie malownicze, a sinawy odbłask błyskawic nadawał mu jakiejś grozy, której na próżno byśmy tu szukali w świetle dnia. Olbrzymie rury kominów, obnażone na skutek zwalenia się dachów, strzelały w górę ku ciężkiej, pełzającej nad zamkiem chmurze i zdawały się ją rozdzierać. W chwilach gdy niebo przeszywały nagle błyski, ruiny rysowały się białą na czarnym tle powietrza, natomiast kiedy oczy przyzwyczaiły się do nawrotu ciemności, tworzyły mroczną bryłę na jaśniejszym horyzoncie. Ogromna gwiazda, której chmury nie śmiały zda się zagarnąć, długo błyszczała nad dumną wieżycą jak klejnot na czole olbrzyma. Wreszcie zniknęła, a potoki deszczu, który chlusnął ze zdwojoną siłą, zasłoniły podróżnemu cały otaczający go świat gęstą zasłoną. Woda, padając na pobliskie skały i na ziemię stwardniałą od niedawnych upałów, odbijała się od nich tworząc białą pianę; rzekłbyś, że to wiatr podnosi tumany kurzu.

Młody człowiek poruszył się, chcąc znaleźć za skałą lepszą osłonę dla konia, i nagle spostrzegł, że nie jest sam. Jakiś człowiek przyszedł tu również szukać schronienia, a może nawet pierwszy zajął to miejsce. Trudno to było ustalić wobec gwałtownych przeskoków od olśniewającej jasności do gęstego mroku. Jeździec nie zdążył przyjrzeć się dobrze piechurowi; wydało mu się, że jest nędznie odziany i że niezbyt dobrze patrzy mu z oczu. Zdawało się nawet, że chciał się ukryć chowając się jak najgłębiej za występ skały; z chwilą jednak gdy usłyszawszy okrzyk podróżnego przekonał się, że go dostrzeżono, zwrócił się do nieznajomego bez wahania, głosem donośnym i śmiałym:

– Bardzo to nieodpowiednia pogoda na spacer, mój panie, i jeśli pan jest człowiekiem rozsądnym, powróci pan na nocleg do Eguzon.

– Stokrotne dzięki, przyjacielu! – odpowiedział młodzieniec i świsnął zamasyżycie szpicrutą z ołowianą gałką, by dać do zrozumienia zagadkowemu rozmówcy, że ma broń w ręku.

Tamten zrozumiał ostrzeżenie i odpowiedział na nie, niby od niechcenia uderzając o skałę tak potężną laską z ostrokrzewu, że aż rozprysnęły się odłamki kamienia. Broń była dobra, a i pięść nie od parady.

– Niedaleko pan dziś zajdzie w taką pogodę – ciągnął dalej wędrowiec.

– Pójdę tak daleko, jak mi się będzie podobało – odrzekł jeździec – i nie chciałbym być w skórze tego, komu strzeli do głowy zatrzymywać mnie w drodze.

– Czy obawia się pan złodziei, że na grzeczność odpowiada pan pogroźkami? Nie wiem, z jakich stron przybywasz, młodzieńcze, ale nie wiesz widać, w jakich stronach się znajdujesz. Nie ma tu u nas, dzięki Bogu, ani zbójców, ani morderców, ani złodziei.

Dumny, lecz szczerzy ton nieznajomego budził zaufanie. Młodzieniec zaczął znów łagodnie:

– Jesteś więc mieszkańcem tej okolicy, mój przyjacielu?

– Tak, jestem nim i będę nim zawsze.

– Masz rację, że chcesz tu pozostać: to piękne strony.

– Nie zawsze, co prawda. W tej chwili na przykład nie jest tu zbyt przyjemnie; pogoda jest bardzo złośliwa i zanosi się na to, że tak będzie przez całą noc.

– Tak pan sądzi?

– Jestem tego pewien. Jeśli pan pojedzie doliną Creuse, burza będzie panu towarzyszyła do jutra rana; myślę jednak, że nie wybrał się pan w drogę tak późno nie mając gdzieś w pobliżu zapewnionego noclegu?

– Prawdę powiedziawszy widzę, że miejscowość, dokąd się udaję, jest położona dalej, niż przypuszczałem. Wyobraziłem sobie, że chcąc zatrzymać mnie w Eguzon przesadzono zarówno odległość, jak i zły stan dróg; widzę jednak po tym, jak mało się posunąłem od godziny, że bynajmniej nie wprowadzono mnie w błąd.

– Czy nie będzie zbytnią ciekawością zapytać, dokąd pan jedzie?

– Do Gargillesse. Jak to daleko, zdaniem pana?

– Niedaleko, gdyby było widać drogę; ale jeśli pan nie zna okolicy, będzie pan wędrował całą noc, gdyż to, co pan tu widzi, jest niczym w porównaniu z karkołomnymi zjazdami, które pana czekają, by przedostać się z wąwozu Creuse do wąwozu Gargillesse, nie mówiąc już o tym, że ponadto ryzykuje pan życie.

– A więc, czy chciałby pan przeprowadzić mnie za sowitą nagrodą?

– Co to, to nie, dziękuję panu.

– Czyżby droga była aż tak niebezpieczna, że odmawia mi pan tej przysługi?

– Droga nie jest niebezpieczna dla mnie, który znam ją równie dobrze, jak pan zapewne zna ulice Paryża; z jakiej racji jednak miałbym dla pańskiej przyjemności moknąć przez całą noc?

– Wcale mi na tym nie zależy i potrafię obejść się bez pańskiej pomocy; ale nie prosiłem pana bynajmniej o grzeczność za darmo: ofiarowałem panu...

– Dosyć, dosyć! Jest pan bogaty, ja zaś jestem ubogi, ale jeszcze nie wyciągam ręki i mam po temu powody, by nie stawać się sługą pierwszego lepszego... Gdybym jeszcze wiedział, kim pan jesteś...

– Nie dowierza mi pan? – rzekł młody człowiek; śmiała i dumna postawa nieznajomego pobudziła jego ciekawość. – Na dowód, że nieufność jest niegodnym uczuciem, zapłacę panu z góry. Ile pan żąda?

– Za pozwoleniem, łaskawy panie, ja nic nie żądam; nie mam żony ani dzieci i nic mi na razie nie potrzeba; mam zresztą przyjaciela, dobrego kolegę – dom jego jest stąd niedaleko – i skorzystam z pierwszego przejaśnienia, by pójść tam na kolację i przespać się pod dachem. Czemu miałbym się tego wyrzekać dla pana? Niech pan sam przyzna. Czy dlatego, że pan ma dobrego konia i ubranie jak z igły?

– Pańska duma podoba mi się raczej. Myślę jednak, że niesłusznie odrzuca pan zwykłą wymianę usług.

– Oddałem już panu usługę taką, na jaką mnie stać, ostrzegając, by pan nie ryzykował podróży w tak ciemną noc i po drogach, które za pół godziny będą nie do przebycia. Czego pan więcej chce?

– Niczego... Jeśli prosiłem pana o pomoc, to tylko by poznać charakter tutejszych mieszkańców, nic więcej. Widzę teraz, że ich życzliwość dla obcych ogranicza się tylko do słów.

– Dla obcych! – wykrzyknął wieśniak, a w głosie jego zabrzmiał taki smutek i wyrzut, że aż podróżny się zdumiał. – A czyż to i tak nie nazbyt wiele dla tych, co nas zawsze tylko krzywdzili? Ludzie są niesprawiedliwi, mój panie; ale Pan Bóg wszystko widzi i wie, że biedny chłop daje się strzyc jak owca przez uczonych ludzi z miasta i nigdy się nawet nie zemści.

– Ludzie z miasta tyle więc krzywdy wyrządzili wieśniakom w waszych stronach? Nie wiedziałem o tym i nie mogę brać za to odpowiedzialności, gdyż jestem tu po raz pierwszy.

– Jedzie pan do Gargillesse. Pewnie w odwiedziny do pana Cardonnet? Jest więc pan, ręczę za to, jego krewnym lub przyjacielem?

– Któż to jest ten pan Cardonnet, do którego zdaje chwili się pan mieć jakiś żal? – zapytał młodzieniec po wahania.

– Dość na tym – odpowiedział wieśniak – jeśli go pan nie zna, wszystko, co mógłbym panu o nim powiedzieć, będzie dla pana nieciekawe; jeśli zaś jest pan bogaty, nic panu z jego strony nie grozi. Jest on zawzięty tylko na biedaków.

– Ależ ostatecznie – ciągnął dalej nieznajomy starając się opanować wzburzenie – może mam powody, że chcę wiedzieć, co myślą w okolicy o tym panu Cardonnet. Jeśli odmawia mi pan wyjaśnień, na czym opiera pan swój ujemny sąd o nim? Widać ma pan do niego jakąś osobistą urazę, która panu samemu mało zaszczytu przynosi.

– Nie mam obowiązku zdawać rachunku przed nikim – odpowiedział wieśniak – a sąd mój do mnie należy. Dobranoc panu. Właśnie deszcz trochę przestaje padać. Przykro mi, że nie mogę panu ofiarować schronienia, ale nie mam innego niż ten oto zamek, który nie należy do mnie. – Oddaliwszy się jednak o kilka kroków przystanął, jakby poczuł wyrzuty sumienia, że nie dość dobrze wywiązuje się z obowiązków gościnności: – Gdyby pan miał ochotę wstąpić tam i poprosić o nocleg – dodał – mogę panu zaręczyć, że byłby pan dobrze przyjęty.

– A więc te ruiny są zamieszkałe? – zapytał podróżny, który na to, by przeprawić się przez rzekę Creuse, musiał także przejść wąwóz, ruszył więc w drogę razem z wieśniakiem, przytrzymując konia za uzdę.

– Prawdziwie jest to ruina – rzekł jego towarzysz tłumiąc westchnienie – ale chociaż nie jestem jeszcze taki stary, widziałem ten zamek, kiedy stał nietknięty i tak piękny, zarówno na zewnątrz, jak wewnątrz, że król by nim nie pogardził. Właściciel niełożył zbyt wiele na jego utrzymanie, ale nie było to potrzebne, taki ten zamek był potężny i mocno zbudowany; mury były tak pięknie wyżebione, kamienie w kominach i dokoła okien tak pięknie ociosane, że nie sposób było przyozdobić je bogaciej, niż uczynili to architekci i murarze przy budowie. Ale wszystko przemija, bogactwo tak jak wszystko inne, i ostatni pan de Châteaubrun odkupił niedawno za cztery tysiące franków zamek swoich przodków.

– Czyż to możliwe, żeby taka góra kamieni, nawet w stanie zupełnego opuszczenia, miała tak małą wartość?

– To, co pozostało, byłoby jeszcze sporo warte, gdyby można te kamienie stąd usunąć i przewieźć; ale skąd wziąć w tej okolicy robotników i maszyny zdolne zwalić te stare mury? Nie wiem, czego ludzie używali dawniej do budowy, ale ten cement jest tak zwarty, że wieże i główne ściany wydają się wyciosane z jednej bryły. I widzi pan, że ten gmach wzniesiony jest na samym szczycie góry, a wszędzie dokoła przepaści. Jakich wozów i jakich koni trzeba

by na przewiezienie podobnego budulca? Chyba żeby się ta góra rozpadła, inaczej te mury ostaną się tak długo jak skała, na której stoją, a znajdzie się pomiędzy nimi jeszcze dość sklepień, aby zapewnić dach nad głową biednemu panu i biednej pani.

– A więc ten ostatni potomek rodu Châteaubrun ma córkę? – zapytał młodzieniec i zatrzymał się, by obejrzeć starą siedzibę ciekawszym okiem, niż to czynił dotychczas. – Czy i ona tu mieszka?

– Tak, tak, mieszka pośród sępów i puszczyków, co nie przeszkadza, że jest młoda i ładna. Nie brak tu powietrza i wody, no i pomimo nowych praw ograniczających polowanie można czasem zobaczyć parę zajęcy lub kuropatw na stole pana de Châteaubrun. Szczerze mówię, jeśli pan nie ma spraw tak pilnych i nie chce ryzykować życia, by stanąć na miejscu przed świtem, chodźmy razem, a ręczę, że będzie pan dobrze przyjęty na zamku. A nawet gdyby pan przybył sam jeden i bez niczyjego polecenia, wystarczy, by noc była słotna, panu zaś dobrze z oczu patrzyło, a przyjmą pana chętnie i gościnnie w domu hrabiego de Châteaubrun.

– Ten szlachcic jest podobno ubogi, miałbym skrupuły nadużywać jego dobrego serca.

– Przeciwnie, zrobi mu pan przyjemność. Co tam, przecie pan widzi, że burza powraca z jeszcze większą siłą, i nie miałbym sumienia zostawić pana samego w górach. Wie pan, nie trzeba mi mieć za złe, że panu moich usług odmówiłem; mam po temu swoje racje, o których pan sądzić nie może i których nie mam obowiązku wyłuszczać; ale będę spał spokojnie, jeśli pan posłucha mojej rady. Znam zresztą pana Antoniego, wziąłby mi za złe, gdybym pana nie zatrzymał i nie przyprowadził na zamek; jeszcze gotów byłby pójść za panem, co nie wyszłoby mu na zdrowie zaraz po kolacji.

– A... czy nie sądzi pan, że jego córka będzie nierada z przybycia nieznajomego?...

– Jego córka jest jego córką, to znaczy, że jest równie dobra jak on, jeśli nie lepsza, choć to się zdaje zgoła niemożliwe.

Młodzieniec wahał się jeszcze chwilę; lecz urzeczony jakimś romantycznym urokiem przygody i tworząc w wyobraźni obraz owej perły niezwyklej piękności, którą odkryje wśród tych groźnych murów, powiedział sobie, że oczekują go w Gargillesse dopiero nazajutrz w ciągu dnia; że przyjeżdżając tam pośrodku nocy zakłóciłby sen rodzicom; wyperswadował sobie wreszcie, że upieranie się przy swoich zamiarach byłoby rzeczą wielce nierozważną, od której matka starałaby się go z pewnością odwieść, gdyby głos jej mógł w tej chwili dolecieć do niego. Pokonany wszystkimi argumentami, które wytaczamy sami sobie, wówczas gdy chochlik młodości i ciekawości się w to wdaje, poszedł za swoim przewodnikiem w stronę starego zamku.

II

ZAMEK CHÂTEAUBRUN

Wspiąwszy się z trudem po stromej ścieżce, a raczej po stopniach wykutych w skale, nasi podróżni po upływie dwudziestu minut znaleźli się przed wjazdem do zamku. Wiatr i ulewa nabierały coraz większej siły, młodzieniec nie miał więc możliwości przyjrzeć się szerokiej bramie, która w tej chwili stanowiła w jego oczach jedynie potężnych rozmiarów mroczną

bryłę. Zauważył tylko, że zamiast żelaznych krat, jak przystało na wielkopańską rezydencję, siedzibę otaczała zwykła drewniana bariera, podobna do tych, które ogradzały okoliczne łąki.

– Proszę tu na mnie poczekać – rzekł przewodnik do młodzieńca. – Przeleżę przez tę barierę i przyniosę klucz; bo co też tej starej Janilli przyszło do głowy: założyła tu niedawno kłódkę, tak jakby złodziej mógł się na coś połaszczyć u jej państwa. Zresztą, miała dobre chęci i nie robię jej z tego zarzutu.

Wieśniak bardzo zręcznie przeskoczył barierę, młodzieniec zaś czekając, aż przewodnik jego powróci, by go wprowadzić na zamek, starał się na próżno zrozumieć układ rozpadających się brył architektonicznych, które majaczyły w głębi dziedzińca: robiły wrażenie całkowitego chaosu.

W parę chwil potem zobaczył zbliżające się ku niemu postacie, które z pośpiechem otworzyły barierę; jedna z nich wzięła za wodze konia, druga podała młodzieńcowi rękę; trzecia wreszcie szła na przedzie, niosąc latarnię. Pomoc jej była niezmiernie potrzebna, by lawirować pomiędzy zagradzającym przejście gruzem i rosnącymi tam gęsto cierniami. Minęli część dziedzińca, kilka wielkich, ciemnych sal, otwartych na wszystkie cztery wiatry, i znaleźli się wreszcie w wąskim, sklepionym pomieszczeniu, które mogło niegdyś służyć za kredens lub lamus łączący kuchnię ze stajniami. W pokoju tym, starannie wybielonym, mieścił się teraz salon i jadalnia pana de Châteaubrun. Wymurowano tam niedawno kominek obramowany politurowanym i błyszczącym drzewem; szeroka blacha żelazna wypełniająca całe palenisko, przyniesiona tu zapewne z jednego z wielkich kominów zamku, zarówno jak oba wilki z polerowanego żelaza odbijały wspaniale ciepło i blask ognia w tym pokoju o białych, nagich ścianach, który dzięki temu i przy pomocy małej blaszanej lampki był dostatecznie oświetlony. Stół z kasztanowego drzewa, mogący w dni szczególnie uroczyste pomieścić aż sześć nakryć, kilka wyplatanych krzeseł i niemiecki zegar z kukłką, kupiony za sześć franków od wędrownego handlarza, stanowiły całe umeblowanie tej skromnej bawialni. Wszystko to jednak było nieskazitelnej czystości; stół i krzesła, z gruba ciosane przez miejscowego stolarza, miały połysk zdradzający usilne używanie szczotki i wełnianej ścierki. Palenisko komina było starannie wymiecione, podłoga na angielską modłę, wbrew miejscowym zwyczajom, wysypana piaskiem; w kamiennym dzbanie na kominku rozpościł się jak wachlarz olbrzymi bukiet róż pomieszanych z polnymi kwiatami zerwanymi na pobliskich wzgórzach.

W tej skromnej siedzibie nie można było na pierwszy rzut oka dostrzec żadnego wyszukania, żadnej chęci nadania jej piętna poetyczności lub malowniczości; a jednak przyjrząwszy się bliżej łatwo się było przekonać, że w tym pokoju, tak jak w każdym zamieszkałym przez człowieka wnętrzu, charakter i wrodzony smak osoby, która je stworzyła, rządziły bądź wyborem, bądź rozstawieniem sprzętów. Młodzieniec, wchodząc tu po raz pierwszy, znalazł się sam przez chwilę, podczas gdy gospodarze krzatali się, by przyjąć go jak najgodniej, mógł więc wytworzyć sobie wkrótce dość słuszny sąd o mieszkańcach tego ustronia. Nie ulegało wątpliwości, że nawykli oni do pewnego wykwintu, że zachowali potrzebę pewnego dobrobytu; że znalazłszy się w ciężkiej sytuacji mieli dość zdrowego rozsądku, by wyrzec się wszelkiego zewnętrznego blichtru, wreszcie, że wybrali na bawialnię spośród niewielu pokoi, które nie uległy zniszczeniu w tym rozległym dworzyszczu, najłatwiejszy do utrzymania, ogrzania, do umeblowania i oświetlenia i że instynktownie dali pierwszeństwo temu, który w proporcjach swoich był zarazem wytworny i pełen wdzięku. Istotnie ten zakątek był częścią pierwszego piętra czworokątnego pawilonu dobudowanego pod koniec Odrodzenia do starych murów tworzących główną fasadę. Artysta, który skomponował tę czworokątną wieżyczkę, usiłował złagodzić przejście łączące ze sobą dwa odmienne style; nadał oknom kształt przypominający dawne strzelnice i okienka obronne; widać było jednak, że te małe okrągłe otwory nie były nigdy przeznaczone na to, by wystawiano przez nie działa, i że służyły tylko jako ozdoba dla oka. Pięknie okolone

czerwoną cegłą na przemian z białymi kamieniami tworzyły od wewnątrz ładne ramy, a rozmieszczone w regularnych odstępach pomiędzy oknami w podobny sposób ornamentowane nisze pozwalały obejść się bez papierowych obić lub rozwieszonych tkanin, a nawet mebli, które przytłoczyłyby tylko te ściany, nie dodając nic do ich pełnej wdzięku prostoty.

W jednej z tych nisz, której podstawę tworzyła kamienna płyta biała i błyszcząca jak marmur, podróżny zobaczył ładny wiejski kołowrotek i wrzeczono z namotaną na nim brunatną wełną; wpatrując się w to narzędzie pracy, tak lekkie i naiwne zarazem, zatopił się w myślach, z których wyrwało go lekkie muśnięcie sukni kobiecej. Odwrócił się żywo; jednakże gwałtowne bicie młodzieńczego serca ustąpiło miejsca przykreemu rozczerowaniu. Była to stara służąca; dzięki pokrywającej podłogę warstwie piasku weszła bez szmeru i pochyliła się, by wrzucić do komina narzędzie pędów dzikiej winorośli.

– Niech się pan przysunie do ognia – powiedziała stara, wymawiając „r” gardłowo i jakby z pewną przesadą – proszę dać mi swój płaszcz i czapkę, wysuszę je w kuchni. To dobry płaszcz od deszczu; nie pamiętam, jak się ten materiał nazywa, ale widziałam taki w Paryżu. Rada bym, żeby nasz pan hrabia mógł mieć podobny! Ale to pewnie bardzo drogo kosztuje, zresztą nie wiadomo, czyby chciał to nosić. Wciąż mu się zdaje, że ma dwadzieścia pięć lat, i twierdzi, że nigdy jeszcze wody niebieskie nie przyparowały o katar uczciwego człowieka; a jednak zeszłej zimy skarżył się trochę na ischias... Ale w pańskim wieku człowiek się takich rzeczy nie boi. Tak czy owak, niech pan sobie krzyż rozgrzeje; o tak, proszę sobie krzesło obrócić, będzie panu lepiej. Pan z Paryża, jestem tego pewna; poznałam to zaraz po pańskiej cerze, zbyt delikatnej jak na nasze strony: piękna okolica, mój panie, ale lato u nas upalne, a zima mroźna. Powie mi pan, że dziś jest tak zimno jak w listopadzie; to prawda, cóż jednak na to poradzić? To przez tę burzę. Ale ten pokój jest pocziwy, łatwo się da ogrzać, przekona się pan o tym za chwilę. Na szczęście nie brak nam chrustu. Tyle tu starych drzew, a potem same jeżyny, co rosną w podwórzu, starczą, żeby palić w piecu chlebowym całą zimę. Prawda, że nigdy dużo chleba się nie piecze. Pan hrabia nic prawie nie jada, córka tak samo; największy żarłok w całym domu to lokajczyk; temu trzeba dać trzy funty chleba na dzień. Toteż piekę dla niego oddzielny bochenek i żyta nie żałuję. W sam raz dla niego, a jeszcze jak dodać trochę otrąb, to bardzo chleba przysparza i wcale na zdrowie nie szkodzi. Ho, ho, to pana śmieszy? I mnie także. Bo ja, widzi pan, całe życie lubiłam śmiać się i gawędzić, robota na tym nie cierpi, cenię prędkość we wszystkim. Pan Antoni jest taki sam; jak co powie, trzeba duchem lecieć. Toteż zawsze na tym punkcie byliśmy zgodni. Pan nam daruje, jeśli wypadnie mu trochę poczekać. Pan hrabia zszedł do piwnicy z tym człowiekiem, co to pana przyprowadził, a tam schody takie strome, że nie sposób iść prędko; ale to dobra piwnica, proszę pana; mury grube przeszło na dziesięć stóp, a tak głęboko w ziemi, że jak się człowiek tam dostanie, to mu się zdaje, że jest żywcem zakopany. Prawdziwie! aż się robi nieswojo. Powiadają, że kiedyś zamykano tam jeńców wojennych; my nie zamykamy teraz nikogo i wino nasze doskonale się tam przechowuje. Spóźniamy się też dlatego, że nasza córka już leży w łóżku: miała dziś migrenę, bo chodziła po słońcu bez kapelusza. Powiada, że chce się do tego przyzwyczaić i że jeśli ja mogę się obchodzić bez kapelusza i parasolki, to i jej to niepotrzebne; ale się myli: wychowana była na panienkę, tak jak przystało biedactwu! Bo jeśli powiadam „nasza córka”, to nie dlatego żebym była matką panny Gilberty; niepodobna do mnie w niczym, tak jak szczygiełek niepodobny jest do zwykłego wróbla; ale że to ja ją wychowałam, więc przywykłam nazywać ją swoją córeczką, a ona za nic nie chciała się zgodzić, żebym przestała jej mówić po imieniu. To takie kochane dziecko! Przykro mi, że leży w łóżku; ale zobaczy ją pan jutro rano, bo nie puścimy pana bez śniadania, i ona pomoże mi usłużyć panu lepiej, niżbym to ja sama potrafiła. Nie brak mi sił co prawda, proszę pana, nogi mam zdrowe, jak pan widzi, jestem szczupłą, choć małą i nie domyśliłby się pan z pewnością, ile mam lat... Na przykład, ile też dałby mi pan lat?...

Młodzieniec liczył, że dzięki temu pytaniu będzie mógł wtrącić choć słowo, choć jedno grzeczne zdanie, by jej podziękować i poruszyć temat, który go interesował, pragnął bowiem dowiedzieć się więcej szczegółów o pannie Gilbercie; ale zacna kobieta nie czekała na jego odpowiedź i ciągnęła dalej z wielką swadą:

– Mam sześćdziesiąt cztery lata, proszę pana, to znaczy, skończę sześćdziesiąt cztery na święty Jan, a zepchnę więcej roboty niż trzy młode dziewczyny. Krewka jestem, proszę pana. Nie pochodzę z Berry; urodziłam się w Marchii, o jakie dwadzieścia cztery kilometry stąd; to od razu znać i widać. Przygląda się pan robocie naszej córki? Czy wie pan, że potrafi prząść tak równo i tak cienko jak najlepsza prąśniczka ze wsi? Uparła się, żebym ją nauczyła prząść wełnę. „Słuchaj, matko – powiedziała mi (bo ona mnie zawsze tak nazywa; biedne dziecko nie pamięta własnej matki i kochało mnie zawsze, jakbym to ja ją urodziła, choć podobne jesteśmy do siebie nie przymierzając jak róża do pokrzywy) – słuchaj, matko – powiada – te hafty, te rysunki, te wszystkie bzdury, których mnie uczono w klasztorze, na nic się tu nie zdadzą. Naucz mnie prząść, robić na drutach, szyć, tak abym mogła pomóc ci w sporządzaniu odzieży dla mego ojca...”

Skoro tylko niezmordowany monolog zaczynał zaciekawiać nieco znużonego słuchacza, pocziwa kobiecina wyszła z pokoju, tak jak to już niejednokrotnie przedtem czyniła – nie usiadła bowiem ani na chwilę – i nie przestając prawić nakryła stół grubym białym obrusem, rozstawiła talerze, szklanki, położyła noże, zamiotła na nowo palenisko, wytarła krzesła i chyba z dziesięć razy podsyciła ogień, nawiązując przy tym nieustannie wątek solowej piosenki w tym samym miejscu, gdzie go przerwała. Tym razem jednak gardłowy jej głos, który nie przestawał dolatywać z sąsiedniego korytarzyka, przytłumiły dwa silniejsze głosy i hrabia de Châteaubrun w towarzystwie wieśniaka, który przyprowadził naszego młodzieńca, ukazał się wreszcie jego oczom. Każdy z nich niósł dwa kamienne dzbany, które postawili na stole. Wówczas dopiero młodzieniec mógł przyjrzeć się dokładnie rysom obu przybyłych.

Pan de Châteaubrun był mężczyzną lat około pięćdziesięciu, średniego wzrostu, o pięknych i szlachetnych rysach. Barczysty, miał kark jak u byka, ręce i nogi atlety, pleć ogorzałą co najmniej tak jak jego towarzysz i potężne dłonie, stwardniałe, opalone, spierzchłe na polowaniu, na słońcu i wietrze; istne ręce kłusownika – zacny hrabia posiadał bowiem zbyt mało ziemi własnej, by nie polować na cudzej.

Twarz miał pogodną, szczerą i uśmiechniętą; nogi silne, głos stentorowy. Jego solidne ubranie myśliwskie, schludne, choć połatane na łokciach, koszula z konopianego płótna, skórzane sztylpy, szpakowaty zarost czekający cierpliwie niedzielnej brzytwy, wszystko w nim świadczyło, że nawykł do twardego, dzikiego nawet życia, podczas gdy ujmujący wyraz twarzy, gładki i serdeczny sposób bycia oraz niepozabawiona pewnej godności swoboda zdradzały szlachcica dwornych manier, który nawykł raczej okazywać pomoc i opiekę niż jej oczekiwać od innych.

Towarzyszący hrabiemu wieśniak nie dorównywał mu w najmniejszym nawet stopniu pod względem schludności. Burza i złe drogi uszkodziły poważnie jego bluzę i obuwie. Jeśli zarost hrabiego datował się sprzed tygodnia, szczecina wieśniaka chyba z górą od dwóch tygodni nie oglądała brzytwy. Wieśniak był chudy, kościsty, zwinny, wyższy od hrabiego o kilka cali, a choć twarz jego wyrażała także dobroć i serdeczność, chwilami przebiegały ją, jeśli tak powiedzieć można, błyskawice złośliwości, smutku lub wyniosłej niechęci do ludzi. Był niewątpliwie bądź mądrzejszy, bądź bardziej nieszczęśliwy od pana zamku Châteaubrun.

– A więc, mój panie – zapytał szlachcic – czy zdążył się pan trochę osuszyć? Rad jestem pana u siebie powitać i służyć kolacją.

– Wdzięczny jestem za tak gościnne przyjęcie – odpowiedział podróżny – uważam jednak, że uchybiłbym dobrym obyczajom, gdybym przede wszystkim się panu nie przedstawił.

– Dobrze, dobrze – ciągnął dalej hrabia, którego nazywać będziemy odtąd panem Antonim, jak to czynili wszyscy w całej okolicy – powie mi pan to potem, jeśli pan sobie

życzy. Ja ze swej strony nie zamierzam stawiać panu żadnych pytań i pragnę wywiązać się z obowiązków gościnności nie zmuszając pana, byś mi deklinował swoje nazwisko i tytuły. Jest pan w podróży, obcy w tej okolicy, ta piekielna noc zaskoczyła pana u mego progu: oto pańskie tytuły i pańskie prawa. Nie dość na tym, podobają mi się zarówno twarz pańska, jak i mina; a nagrodą dla mnie będzie radość, jaką sprawi mi oddanie przysługi zacnemu chłopcu. Niechże więc pan siada, przekąsi coś i wypije.

– Zbytńia to łaska z pańskiej strony i wzrusza mnie szczerłość i uprzejmość, z jaką wita pan podróżnych. Nic mi wszakże nie potrzeba, wystarczy aż nadto, jeśli pan pozwoli mi doczekać tu końca burzy. Jadłem kolację w Eguzon, przed niespełną godziną. Zaklinam więc pana, byś nie kazał mi nic podawać.

– Jest pan już po kolacji? Ależ to niczego nie dowodzi! Czyżby pan należał do ludzi, których żołądek potrafi strawić na raz tylko jeden posiłek? Kiedy byłem w pańskim wieku, gotów byłbym zjeść kolację o każdej godzinie w ciągu nocy, byle mi się tylko po temu nadarzyła sposobność. Konna przejażdżka i powietrze górskie wystarczą, by zaostrić na nowo apetyt. Co prawda, gdy się dożyje pięćdziesiątki, żołądek przestaje już być tak układny; toteż jeśli o mnie chodzi, pół szklanki dobrego wina i skórka czerstwego chleba wystarczają mi całkowicie. Niechże pan jednak nie robi ceremonii. Przybył pan w samą porę, miałem właśnie zasiąść do stołu, a że moja biedna mała cierpi dziś na migrenę, smutno było nam obojgu, Janilli i mnie, jeść kolację tylko we dwoje; przybycie pańskie jest więc pociechą zarówno dla nas, jak dla tego zacnego człowieka, towarzysza moich lat dziecięcych, którego zawsze chętnie witam u siebie. Siadaj no tu przy mnie – dodał zwracając się do wieśniaka – a pani, jejmość Janillo, naprzeciwnie mnie. Proszę robić honory domu, bo wie pani przecież, jak mam ciężką rękę: kiedy zabieram się do krajania mięsa, przecinam na dwoje pieczeń, półmisek, obrus, ba, może nawet i stół, a to panią gniewa.

Kolacja, którą jejmość pani Janilla rozstawiła na stole z wyraźną satysfakcją, składała się z sera koziego, sera owczego, talerza orzechów, talerza śliwek suszonych, wielkiego bochna razowego chleba i czterech dzbanów wina przyniesionych osobiście przez pana domu. Biesiadnicy zabrali się żwawo i z widocznym zadowoleniem do skromnego jada; jedynie podróżny nie miał wcale apetytu i tylko podziwiał uprzejmość, z jaką czcigodny gospodarz dzielił z nim, bez najmniejszego zakłopotania, swój skromny codzienny posiłek. Było w tej serdecznej i naiwnej prostocie coś ojcowskiego i dziecięcego zarazem, co zyskało mu od razu serce młodzieńca.

Wierny szlachetnemu prawu, które sam sobie narzucił, pan Antoni o nic swego gościa nie pytał, unikał też wypowiedzenia jakiegokolwiek uwagi, która mogłaby się wydać zamaskowaną ciekawością. Wieśniak zdradzał teraz pewien niepokój i zachowywał się powściągliwie. Wkrótce jednak dał się wciągnąć w ogólną rozmowę, wszczętą przez pana Antoniego i jejmość Janillę, rozruszał się i pozwalał sobie tak często dolewać do szklanki, że aż podróżny zaczął ze zdziwieniem przyglądać się człowiekowi, który zdolny był pić tak wiele nie tylko nie tracąc przytomności umysłu, lecz właściwej sobie zimnej krwi i powagi.

Hrabia natomiast, zaledwie opróżnił do połowy stojący przed nim dzban, miał już błyszczące oczy, purpurowy nos i ręka zaczęła mu drżeć. Nie mówił wszakże od rzeczy nawet wówczas, gdy osuszył już ze swym przyjacielem wieśniakiem wszystkie cztery dzbany; Janilla bowiem, czy to przez oszczędność, czy też przez wrodzoną powściągliwość, dołala sobie zaledwie kilka kropel do wody, podróżny zaś, zdobywszy się na bohaterski wysiłek, by przełknąć pierwszą szklankę, zaniechał tego kwaśnego, mętnego i szkaradnego napoju.

Obaj wieśniacy zdawali się jednak nim delectować. Po kwadransie Janilla, która nie mogła żyć bez ruchu, wstała od stołu, wzięła do ręki druty i zasiadła przy kominku z robotą; drapała się przy tym co chwila drutem w skronie, nie targając wszakże gładko zaczesanych, czarnych jeszcze pasem włosów wymykających się spod czepka. Ta schludna i drobna staruszka mogła być kiedyś ładna; jej delikatny profil nie był pozbawiony szlachetności i gdyby nie lekkie

zmanierowanie i chęć pochwalenia się swoimi zdolnościami i wdziękiem, byłaby również przypadła podróżnemu do serca.

Pozostałe postacie, które pod nieobecność panienki wypełniały jadalnię pana Antoniego, były to: piętnastoletni może chłopiec wiejski, o bystrych oczach i zwinnych ruchach, pełniący tu obowiązki totumfackiego, oraz stary pies myśliwski o zamglonych oczach, zapadniętych bokach i melancholijnym, rozmarzonym wyrazie. Leżał u nóg swego pana i z filozoficznym spokojem zasypiał pomiędzy jednym a drugim kęsem, który mu podawał hrabia mówiąc do niego „mospanie” z miną na poły poważną, na poły krotochwilną.

III

PAN CARDONNET

Godzinę z górą siedziano już przy stole, a pan Antoni nie zdawał się wcale mieć dosyć tego posiedzenia. Zarówno on, jak i jego przyjaciel, wieśniak, jedli po maleńku niewielkie serki i popijali hojne miary wina z tą majestatyczną powolnością, którą Berryjczycy doprowadzili niemal do mistrzostwa. Sięgali na przemian nożem po ów przysmak, którego kwaskawa woń bynajmniej nie była przyjemna, dzielili go na małe cząsteczki, po czym układali je metodycznie na gliniane talerze i zjadali na razowym chlebie co do okruszyny. Każdy kęs popijali łykiem domowego wina, za każdym razem trącając się szklankami i wymieniając przy tym grzeczności: „W twoje ręce, kolego!” – „Pańskie zdrowie, panie Antoni!” albo też: „Twoje zdrowie, mój stary” – „Nawzajem, panie hrabio!”

Gdyby tak dalej poszło, uczta mogła trwać całą noc; podróżny zaś, wyczerpany udawaniem, że je i pije, choć jak mógł starał się tego unikać, z trudem walczył ze snem, kiedy nagle rozmowa tocząca się dotąd o pogodzie, o sprzęcie siana, cenach bydła i młodych szczepach winnych przybrała stopniowo obrót, który go żywo zainteresował.

– Jeśli taka pogoda dłużej potrwa – mówił wieśniak nasłuchując szumu ulewy – woda przybierze w tym miesiącu niczym w marcu. Z Gargillesse nie ma żartów i pan Cardonnet może ponieść nie byle jakie straty.

– To źle – powiedział pan Antoni – byłaby to wielka szkoda, dokonał bowiem wielkich i pięknych robót na tej rzece.

– Cóż, kiedy rzeczka kpi sobie z tego – odparł wieśniak – ja zaś uważam, że szkoda nie byłaby znów tak wielka.

– Co też ty mówisz! Ten człowiek wydał na Gargillesse z górą dwieście tysięcy, a wystarczy, by woda, jak mówią u nas, się rozsierzdziła, a już to wszystko diabli wzięli.

– Czyby to znów było takie nieszczęście, panie Antoni?

– Nie powiedziałem, żeby to miało być nieszczęście nie do naprawienia dla człowieka, którego majątek liczą na milion – ciągnął dalej hrabia, który w prostocie serca nie mógł zrozumieć wrogich uczuć, jakie jego przyjaciel żywił do pana Cardonnet – ale zawsze byłaby to strata.

– Toteż śmiałbym się w duchu, gdyby los wywiercił taką dziurę w jego kabzie.

– To bardzo brzydko z twojej strony, mój stary! Czy masz jaki żal do tego przybysza? Nie zrobił nigdy żadnej krzywdy ani mnie, ani tobie.

– Zrobił krzywdę panu, panie Antoni, i mnie, i całej wsi. Tak, powiadam panu, zrobił to rozmyślnie i będzie nadal szkodził wszystkim dokoła. Pozwólcie, żeby jastrzębiowi dziób urósł, a zobaczycie, jakie spustoszenie zrobi w waszym kurniku.

– Zawsze te twoje fałszywe poglądy, mój stary; mówiłem ci już sto razy, że masz fałszywe poglądy; żywisz pretensje do tego człowieka o to, że jest bogaty. Czy to jego wina?

– Tak, proszę pana, to jego wina. Ktoś, kto – być może – pochodzi z równie niskiego stanu jak ja, a kto zaszedł tak wysoko, nie jest człowiekiem uczciwym.

– Zlituj się! Co też ty wygadujesz? Myślisz, że nie można dojść do majątku nie kradnąc?

– Nie wiem, czy tak jest, ale wierzę w to święcie. Wiem, że pan urodził się bogatym i że pan przestał nim być. Wiem, że urodziłem się biedakiem i zawsze nim pozostanę; ale widzi mi się, że gdyby pan wyjechał do innych krajów nie zapłaciwszy długów swego ojca, a gdybym ja ze swej strony zaczął handlować końmi, kręcić i oszukiwać, gdzie się da, jeździlibyśmy dziś obaj kareta. Przepraszam, proszę darować, jeśli pana obraziłem – dodał wieśniak, szorstko i z odcieniem dumy zwracając się do młodzieńca, który nie potrafił ukryć alteracji, w jaką wprawiła go ta rozmowa.

– Młodzieńcze – rzekł hrabia – zna pan, być może, pana Cardonnet, jest pan jego urzędnikiem lub ma pan wobec niego jakieś długi wdzięczności. Proszę, niech pan nie zważa na to, co mówi ten zacny wieśniak. Wytwarza on sobie przesadne pojęcie o rzeczach, których dobrze nie rozumie. W gruncie, może pan być pewien, nie jest ani nienawistny, ani zazdrosny, ani też zdolny w najmniejszym nawet stopniu zaszkodzić panu Cardonnet.

– Mało przywiązuję wagi do jego słów – odpowiedział nieznajomy młodzieniec. – Dziwi mnie tylko, panie hrabio, że człowiek, którego pan darzy szacunkiem, tak lekkomyślnie psuje czyjąś opinię, nie mogąc przeciwko temu komuś przytoczyć najmniejszego nawet faktu i wcale nie znając jego przeszłości. Poprosiłem pańskiego gościa, by udzielił mi bliższych informacji o tym panu Cardonnet, do którego zdaje się żywić osobistą nienawiść, ale odmówił mi wszelkich wyjaśnień. Czynię pana sędzią: czy można wyrobić sobie sprawiedliwą opinię na podstawie bezzasadnych zarzutów i czy – jeśli pan lub ja powzięliśmy ujemne zdanie o tym panu Cardonnet – pański gość nie popełnił złego uczynku?

– Sercem i myślą zgadzam się z tym, co pan mówi, młodzieńcze – odrzekł pan Antoni. – Ty zaś – dodał zwracając się do swego gburowatego współbiesiadnika i uderzając pięścią w stół, minę miał przy tym groźną, ale w oczach jego życzliwość i dobroć brały górę nad gniewem – postąpiłeś niesłusznie i powiesz nam w tej chwili, co masz do zarzucenia temu Cardonnet, byśmy mogli osądzić, czy twoje pretensje mają jakąkolwiek wartość. W przeciwnym razie będziemy zmuszeni uznać, że masz podejrzliwy charakter i zły język.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia ponad to, o czym wszyscy wiedzą – odparł wieśniak ze spokojem, bynajmniej nie onieśmielony naganą. – Ludzie widzą wiele rzeczy i każdy sądzi je wedle swego rozumienia; ale ponieważ ten młodzieniec nie zna pana Cardonnet – dodał obrzucając podróznego przenikliwym spojrzeniem – i ponieważ tak bardzo pragnie wiedzieć, jaki to człowiek, niech mu pan sam to powie, panie Antoni, a skoro już pan ustali fakty, ja dodam pewne szczegóły; powiem, jakie były ich przyczyny i jakie skutki; ten pan będzie mógł sam osądzić, jak stoją sprawy, chyba że ma racje ważniejsze od moich, by nie powiedzieć, co o tym myśli.

– Zgoda! – rzekł pan Antoni, który zwracał mniej baczną uwagę niż jego towarzysz na wzrastającą alterację młodzieńca. – Powiem wszystko tak, jak jest, a jeśli się omylę lub jeśli mnie pamięć zawiedzie, upoważniam jejmość Janillę, której pamięć i dokładność można porównać tylko z almanachem, by mi zaprzeczyła lub by mi przerwała. Ty zaś, hultaju – dodał, zwracając się do swego pazia w chłopskiej bluzie i sabotach – nie gap się tak na mnie, kiedy mówię. Twój utkwiony we mnie wzrok przyprawia mnie o zawrót głowy, zaś rozdziawione usta przypominają mi studnię, do której boję się wlecieć. Co to znaczy? Śmiejesz się? Żebyś wiedział, że nicpoń w twoim wieku nie powinien sobie pozwalać na

jakieś śmiechy w obecności swego chlebowodawcy. Stań za mną i zachowaj się tak przyzwoicie jak ten oto „Mospanek”.

To mówiąc wskazał psa, a miał przy tym tak poważną minę i żartował tak głośno, że podróżny zadał sobie pytanie, czy hrabia nie miewa czasem napadów wielkopańskiego despotyzmu, tak niezgodnego z jego zwykłą dobroduszością. Jedno spojrzenie wszakże na twarz chłopca wystarczyło, aby go przekonać, że wszystko to było widać powszednią dla niego komedią, gdyż nicpoń usiadł natychmiast koło psa i zaczął się z nim bawić, bynajmniej nie stropiony ani zawstydzony.

Sposób bycia pana Antoniego był wszelako tak swoisty, że trudno było go zrozumieć od razu; toteż młodemu podróżnemu zdawało się, że hrabia wypił za wiele i zaczyna pleść trzy po trzy, przestał więc przywiązywać jakąkolwiek wagę do jego słów. Hrabia jednakże rzadko kiedy tracił głowę, choćby był nawet stracił już władzę w nogach, i oddawał się teraz ulubionej rozrywce: drwił i żartował sobie z otoczenia, lecz w tym jedynie celu, by rozproszyć przykre wrażenie, jakie dyskusja wywarła na biesiadnikach.

– Mospanie – zaczął zwracając się do swego gościa...

Lecz przerwał mu pies, który, nawykły również do żartów, wziął do siebie tę apostrofę i zaczął trącać hrabiego w łokieć, podskakując przy tym z taką gracją, na jaką pozwalał mu jego sędziwy wiek.

– Oho! Mospanie – powtórzył hrabia piorunując psa spojrzeniem. – Co to ma znaczyć? Odkąd to masz takie maniery jak źle wychowany człowiek? Kładź się zaraz i śpij, i żeby mi się to więcej nie powtórzyło – widzisz, rozlałem przez ciebie wino na obrus – inaczej będziesz miał do czynienia z jejmością Janillą. Powiem więc panu, młodzieńcze – ciągnął dalej pan Antoni – że w zeszłym roku, pewnego pięknego dnia na wiosnę...

– Przepraszam, panie hrabio – wtrąciła się Janilla – było to dziewiętnastego marca, a więc jeszcze zima.

– Warto też się przyczepiać o głupie dwa dni! Jedno wiem z całą pewnością, że pogoda była wspaniała, gorąco jak w czerwcu i nawet dokuczała susza.

– Święta prawda – wykrzyknął domorosły *groom* – najlepszy dowód, że nie mogłem napoić koni pana hrabiego w małym źródelku.

– To nie ma nic do rzeczy – odrzekł pan Antoni tupiąc nogą – trzymaj język za zębami, chłopcze. Będiesz mówił wtedy, kiedy cię wezwę na świadka; możesz za to nastawić uszu, by kształcić umysł i serce, jeśli się ku temu nadarzy sposobność. Mówiłem więc, że pewnego pięknego dnia wracałem z jarmarku; szedłem spokojnie piechotą, aż tu naraz spotykam wysokiego mężczyznę o twarzy pięknej, choć wiekiem nie był wcale ode mnie młodszy i choć czarne oczy, blada, a nawet poślizka pleć nadawały mu wyraz nieco twardy i srogi. Jechał kabrioletem, a choć droga była stroma i najeżona kamieniami, tak jak je ułożyli nasi ojcowie, popędzał konia, jakby nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Nie mogłem się powstrzymać, żeby go nie ostrzec:

„Muszę panu powiedzieć, że od niepamiętnych czasów nigdy żaden wehikuł o czterech, trzech lub dwóch kołach nie zjechał tą drogą. Uważam, że jest to przedsięwzięcie jeśli nie całkiem niemożliwe, to w każdym razie karkołomne, i gdyby chciał pan pojechać inną, dalszą, ale bezpieczniejszą drogą, chętnie ją panu wskażę.” – „Serdeczne dzięki – odpowiedział z dość dumną miną; droga wydaje mi się całkiem możliwa i rękę panu, że koń mój da sobie radę.” – ”To już pańska rzecz – odpowiedziałem – a jeśli pana ostrzegłem, to tylko dla jego dobra.” – „Pięknie dziękuję, a że pan jest tak uprzejmy, chciałbym się panu wywdziękzyć. Idzie pan piechotą w tę samą stronę co i ja; jeśli pan zechce wsiąść do mego powozu, znajdzie się pan prędzej w dolinie, ja zaś będę miał przyjemność pańskiego towarzystwa.”

– Zgadza się – rzekła Janilla. – Tak pan to nam jota w jotę opowiedział tego samego wieczoru, najlepszy dowód, że pamiętam nawet, jak pan mówił, że ów nieznajomy ubrany był w granatowy surdut.

– Za pozwoleniem, panno Janillo – wtrącił się chłopiec – pan hrabia powiedział, że surdut był czarny.

– Granatowy, powiadam, mądralo!

– Nie, paniusiu, czarny.

– Granatowy, ręczę za to!

– Mógłbym przysiąc, że czarny.

– Dajcie mi spokój, do diabła, surdut był zielony – krzyknął pan Antoni. – Janillo, proszę mi więcej nie przerywać, a ty, nicponiu, idź do kuchni zobaczyć, czy mnie tam czasem nie ma, albo trzymaj język za zębami: co wolisz.

– Wolę słuchać, panie hrabio, nie pisnę już ani słówka.

– A więc – ciągnął dalej hrabia – wahałem się chwilę: z jednej strony bałem się, że jeśli przyjmę zaproszenie, połamię sobie wszystkie kości, jeśli zaś odmówię, będę uchodził za tchórza. Ostatecznie, powiedziałem sobie, ten jegomość nie wygląda mi wcale na wariata i nie ma chyba zamiaru ryzykować życia. Musi mieć wspaniałego konia i doskonałe „taczki”. Usadowiłem się więc przy nim i zaczęliśmy zjeżdżać tęgiego kłusa po stoku przepaści, przy czym koń nie potknął się ani razu, jego pan zaś nie stracił ani na chwilę kontenansu i zimnej krwi. Mówił o tym i o owym, dopytywał się o całą okolicę; przyznaję, że odpowiadałem mu ni w pięć, ni w jedenaście, gdyż nie czułem się całkiem pewnie.

– „Dobrze – powiedziałem mu, kiedyśmy bez szwanku znaleźli się nad brzegiem Gargillesse – zjechaliśmy z tych wertepów, ale nie przejedziemy tu przez rzekę; poziom wody jest bardzo niski, ale jednak nie da się jej w tym miejscu przebyć w bród: musimy wziąć trochę bardziej na lewo.” – „Pan to nazywa wodą? – rzekł wzruszając ramionami. – Jeśli o mnie chodzi, widzę tu tylko kamienie i trzcinę. Co też pan mówi! Zjeżdżać z drogi z powodu wyschniętej rzeczulki!” – „Jak pan chce” – odpowiedziałem nieco strapiony. Drażniło mnie jego lekceważące zuchwalstwo; wiedziałem, że wjedzie prosto w otchłań, ale że z natury nie jestem tchórzem i wstrętem przejmowała mnie myśl, iż mogę za takiego uchodzić, odpowiedziałem odmownie, kiedy zaproponował mi, bym wysiadł. Pragnąłem, chcąc go ukarać, by wreszcie nałykał się strachu, choćbym i ja miał przy tej sposobności łyknąć wody, której co prawda tak nie lubię.

Nie miałem ani tej satysfakcji, ani tej przykrości: kabriolet się nie wywrócił. Na samym środku rzeki, która wyżłobiła sobie w tym miejscu głębsze koryto, woda sięgała koniowi aż do nozdrzy; prąd uniósł powóz. Nieznajomy w zielonym surducie (surdut był zielony, Janillo) zaciął konia, koń stracił grunt pod nogami – jego również porwał prąd – zaczął płynąć i cudem jakimś wyciągnął nas na brzeg bez większego szwanku poza zanurzeniem nóg w bynajmniej nie ciepłej kąpieli. Nie straciłem głowy, umiem pływać nie gorzej od innych, mój towarzysz wszakże przyznał mi się potem, że ma tyle pojęcia o pływaniu co pierwsza lepsza kłoda; a jednak ani drgnął, nie kłął, nie zbładł nawet. „Tęgi chłop z niego – pomyślałem – podoba mi się ta jego pewność siebie, chociaż w tym jego spokoju kryje się pogarda, coś niby śmiech szatański.”

„Jeśli pan jedzie do Gargillesse – powiadam – i ja się tam wybieram, moglibyśmy dalej razem udać się w drogę.” – „Zgoda – odrzekł. – A cóż to jest to Gargillesse?” – „Więc pan tam nie jedzie?” – „Nigdzie dziś nie jadę – brzmiała odpowiedź – i gotów jestem pojechać wszędzie.”

Nie jestem przesądny, wie pan, a jednak żywo stanęły mi w pamięci historie, które mi opowiadała moja piastunka, i zdjęła mnie jakaś niemądra nieufność, tak jakbym siedział w kabriolecticie ramię w ramię z szatanem. Patrzyłem krzywo na tę dziwną osobistość włóczącą się bez żadnego celu przez góry i rzeki dla samej przyjemności narażania siebie, a może i

mnie na niebezpieczeństwa – ja zaś, jak głupiec, dałem się namówić, by wsiąść do jego piekielnych taczek.

Widząc, że nie odzywam się ani słowem, uznał za właściwe mnie uspokoić. „Dziwi pana sposób, w jaki odbywam wędrówki po okolicy – powiedział – niech pan zatem wie, że przyjeżdżam tu w celu założenia pewnego przedsiębiorstwa w miejscu, które wyda mi się po temu najodpowiedniejsze. Mam kapitał do ulokowania, mój własny czy też cudzy, to zapewne dla pana obojętne; jednakże mógłby pan swymi wskazówkami dopomóc mi do osiągnięcia celu.” – „Chętnie – odpowiedziałem zupełnie uspokojony, widząc, że mówi rozsądnie – ale na to, by móc panu dawać rady, musiałbym najpierw wiedzieć, jakiego rodzaju przedsiębiorstwo zamierza pan założyć.” – „Wystarczy całkowicie – odrzekł wymijająco – jeśli pan odpowie na wszystkie moje pytania. Na przykład, jaka jest maksymalna siła rzeczułki, przez którą dopiero co przejechaliśmy od tego właśnie miejsca aż do ujścia jej do rzeki Creuse?” – „Jest bardzo nierównomierna: widział ją pan w chwili, gdy osiągnęła swoje minimum; ale wylewy jej bywają częste i straszne. Jeśli pan chce zobaczyć największy młyn, niegdyś własność klasztoru w Gargillesse, przekona się pan, jakie spustoszenie potrafi szerzyć ta rzeczułka, jakim uszkodzeniom ulega nieustannie to stare przedsiębiorstwo i jakim szaleństwem byłoby ryzykowanie tu znacznych wkładów.” – „Ale wielkie wkłady, proszę pana, ujarzmiają rozkiełznane żywioły! Tam gdzie ubogie przedsiębiorstwo upada, zatryumfuje solidna i potężna fabryka!” – „To prawda – odrzekłem – we wszystkich rzekach grube ryby połykają drobne płotki.”

Nie odpowiedział nic na tę moją uwagę i towarzyszył mi nie przestając się wypytywać. Obowiązek nakazywał mi uprzejmość, że zaś lubię się włóczyć, oprowadzałem go po okolicy. Weszliśmy do paru młynów; rozmawiał z młynarzami, przyglądał się wszystkiemu uważnie i wrócił do Gargillesse, gdzie przeprowadził rozmowę z merem i miejscowymi notablami, z którymi na jego prośbę niezwłocznie go zapoznałem. Przyjął zaproszenie na obiad do proboszcza, nie ceremonizował się, pozwalał wszystkim skakać dokoła siebie, dając do zrozumienia, że jest w jego mocy oddać każdemu jeszcze więcej przysług, niż od niego otrzyma.

Mówił mało, dużo słuchał i o wszystko się pytał, nawet o rzeczy, które nie wydawały się mieć nic wspólnego z interesami: na przykład, czy ludność tutejsza jest szczerze pobożna czy też zabobonna; czy mieszczanie lubią życie dostatnie, czy też odmawiają sobie wszystkiego przez oszczędność; czy są z przekonania liberałami czy demokratami; z jakiego typu ludzi składa się rada departamentu... sam nie wiem już o co. Kiedy się ściemniło, wziął przewodnika i kazał się odprowadzić na noc do Pin; zobaczyłem go dopiero w trzy dni potem. Przejeżdżał przez Châteaubrun i zatrzymał się przed moim progiem, by jak mówił, podziękować mi za okazaną uprzejmość, w rzeczywistości jednak, jestem pewien, by zadać mi jeszcze mnóstwo pytań.

„Wrócę tu za miesiąc – powiedział żegnając się ze mną – i zdaje się, że jednak wybiorę Gargillesse. Jest to dość ożywiony ośrodek, okolica mi się podoba i myślę, że ta wasza rzeczka, która pańskim zdaniem jest taka niesforna, da się poskromić bez trudu. Pociągnie to za sobą mniejsze koszty, niż gdyby chodziło o Creuse; zresztą, to drobne niebezpieczeństwo, jakie nam groziło, gdyśmy się przez nią przeprawiali, a które zdołaliśmy pokonać, zdaje się świadczyć, że przeznaczeniem moim jest tu żyć i zwyciężać.”

To mówiąc nieznajomy pożegnał mnie. Był to pan Cardonnet.

W niespełna trzy tygodnie potem wrócił z mechanikiem Anglikiem i kilku robotnikami tego samego fachu i od tego czasu nie przestał ryc się w ziemi, kamieniach i żelastwie w Gargillesse. Pracuje zapamiętale, wstaje do dnia, ostatni kładzie się spać. Bez względu na pogodę stoi w błocie po kolana, nie spuszcza ani na chwilę z oka swych robotników, zjadł widać wszystkie rozumy, prowadzi równocześnie budowę dużej fabryki, domu mieszkalnego z ogrodem i przyległościami, stawia budynki użytkowe, szopy, buduje tamy, mosty, szosy,

jednym słowem, całe wspaniałe przedsięwzięcie. Podczas jego nieobecności pośrednicy traktowali w jego imieniu o kupno obiektu, on zaś na pozór nie wtrącał się wcale do tej sprawy. Kupił drogo, toteż myślano z początku, że nie zna się wcale na interesach i że się dał nabrać. Ludzie kpili z niego jeszcze bardziej, kiedy podniósł robotnikom dzienną płacę; kiedy zaś, chcąc uzyskać od władz municypalnych pozwolenie na zmianę biegu rzeki zgodnie z jego wolą, zobowiązał się, że wybuduje szosę, co go kosztowało mnóstwo pieniędzy, powiedziano: „To wariat; te szalone projekty doprowadzą go do ruiny.” Koniec końcem, ja jednak myślę, że nie jest wcale od nich głupszy, i gotów jestem się założyć, że uda mu się tu osiedlić i dobrze ulokować pieniądze. Zeszłej jesieni rzeczka mocno mu krzyżowała plany, ale na szczęście tej wiosny zachowywała się bardzo spokojnie, zostanie mu więc dość czasu, by zakończyć roboty, zanim nastaną deszcze, jeśli nie będzie jakichś niezwyklej burz w ciągu lata. Robi wszystko na wielką skalę i wydaje na to więcej niż potrzeba, to prawda; ale jeśli pali się, aby wykonać szybko to, co już rozpoczął, i jeśli ma środki i dobrą wolę, by drogo opłacać ubogich robotników, cóż w tym złego? Wydaje mi się, iż zamiast zarzucać mu, że ma źle w głowie, jak to robią jedni, albo że jest przebiegłym spekulantem, jak to czynią drudzy, należałoby mu raczej podziękować, że wniósł w nasze strony dobrodziejstwa życia przemysłowego. Skończyłem! Niechaj teraz z kolei wypowie się strona przeciwna.

IV

WIDMO

Zanim wieśniak, który w dalszym ciągu żuł chleb z zatroskaną miną, zebrał się na odpowiedź, młodzieniec z wylaniem oświadczył panu Antoniemu, iż dziękuje mu za jego opowiadanie i lojalne oświetlenie sprawy. Nie przyznając się, jakie stosunki łączą go z panem Cardonnet, był ujęty sposobem, w jaki hrabia de Châteaubrun oceniał charakter sąsiada, dodał więc jeszcze:

– Tak, panie hrabio, sędzę, że starając się znaleźć dobrą stronę każdej rzeczy jesteśmy bliżsi prawdy, niż kiedy postępujemy odwrotnie. Chciwy spekulant z pewnością okazałby się skąpym w pewnych szczegółach swego przedsięwzięcia i wówczas mielibyśmy prawo podejrzewać go o nieuczciwość. Lecz kiedy widzimy, że człowiek czynny i rozumny hojnie wynagradza pracę...

– Chwileczkę, za pozwoleniem – przerwał mu wieśniak – zacni z was ludzie i obaj macie dobre serca, chcę wierzyć, że tak jest, jeśli chodzi o tego młodzieńca, tak jak jestem tego pewien, jeśli chodzi o pana Antoniego. Ale, bez obrazy, powiem, że nie potraficie w całej tej sprawie widzieć dalej niż koniec własnego nosa. Posłuchajcie mnie. Przypuśćmy, że mam dużo pieniędzy do ulokowania i zamierzam nie tylko wyciągnąć z nich godziwy i rozsądny procent, jak wolno przecie każdemu, ale chcę podwoić lub potroić w krótkim czasie mój kapitał. Nie byłbym przecie tak głupi, żeby zdradzić się z tym moim zamiarem przed ludźmi, których z konieczności muszę doprowadzić do ruiny. Zaczęlbym więc od tego, by ich sobie zjednać, okazać swą hojność, i chcąc rozproszyc wszelkie podejrzenia starałbym się w razie potrzeby wyrobić sobie opinię rozrzutnika i lekkoducha. Po czym miałbym już w ręku moich dudków, poświęciwszy może sto tysięcy franków na te drobne przynęty. Sto tysięcy to

wielkie słowo tutaj na wsi! Ale dla mnie, jeśli rozporządzam kilkoma milionami, to zaledwie poręczawiczne w tym interesie. Wszyscy mnie lubią, choć niektórzy śmieją się z mojej naiwności; większość współczuje mi i darzy mnie szacunkiem. Nikt nie ma się przede mną na baczności. Czas szybko leci, ale mój umysł galopuje jeszcze prędzej; zarzuciłem sieć, ryby zaczynają się łapać: najpierw drobnica, płatki które połykam niespostrzeżenie, potem grube ryby, aż wreszcie nic nie pozostanie!

– Co znaczą te wszystkie metafory? – zapytał pan Antoni wzruszając ramionami. – Jeżeli będziesz nadal mówił takimi zagadkami, zasnę, jak cię kocham. No, spiesz się, już późno!

– To, co mówię, jest jasne jak słońce – ciągnął dalej wieśniak. – Z chwilą kiedy zrujnuję wszystkie drobne przedsiębiorstwa, które robiły mi konkurencję, stanę się panem potężniejszym niż pańscy przodkowie przed rewolucją, panie Antoni! Nie liczę się z prawem i podczas gdy za najmniejsze wykroczenie każę aresztować jakiegoś biedaka, sam pozwalam sobie na wszystko, co mi się podoba i co mi dogadza. Zabieram każdemu cały jego dobytek (córkę i żonę na dokładkę, jeśli są w moim guście). Jestem panem wszystkich interesów i ode mnie zależy materialny byt wszystkich obywateli w całym departamencie. Dzięki moim talentom obniżyłem trochę cenę żywności; z chwilą jednak gdy wszystko jest już w moim ręku, podnoszę ceny do woli i jeśli tylko mogę to robić bez narażania się, zagarniam i ogładzam. Nie dość na tym, nie wystarcza zabić konkurencję: staję się wkrótce panem pieniądza, który jest kluczem do wszystkiego. Jestem po cichu bankierem na wielką i małą skalę; wyświadczam tyle przysług, że staję się wierzycielem wszystkich i wszyscy ode mnie zależą. Wkrótce ludzie spostrzegają się, że przestali mnie lubić, rozumieją jednak, że należy się mnie bać, i nawet najpotężniejsi liczą się ze mną, podczas gdy mali drżą i wzdychają dookoła mnie. Ale że nie brak mi sprytu i znajomości życia, od czasu do czasu zdobywam się na wielki gest. Ratuję z opresji kilka rodzin, przyczyniam się do utrzymania jakiegoś zakładu dobroczynnego. W taki to sposób smaruję koło mojej fortuny, która toczy się tym szybciej, gdyż zyskuję sobie znów sympatię. Przestałem uchodzić za poczciwego głupca, uważają, że jestem dobry i wspaniałomyślny. Począwszy od prefekta departamentu aż do proboszcza wiejskiego i od proboszcza aż do żebraka wszystkich mam w ręku; ale cała okolica cierpi i nikt nie wie, z jakiego powodu. Żadna inna fortuna oprócz mojej nie powstanie, nawet średnia zamożność się uszczupli, wysuszę bowiem wszelkie źródła dobrobytu, podniosę ceny na artykuły pierwszej potrzeby, a obniżę je na przedmioty zbytku, czyli odwrotnie, niż być powinno. Kupiec na tym straci, ale konsument także. Ja zaś będę się miał dobrze, dzięki swoim bogactwom będę jedynym ratunkiem tak jednych, jak drugich. Ludzie powiedzą wreszcie: „Co to się dzieje? Mali dostawcy są goli, a drobni nabywcy nie mają grosza przy duszy. Jest więcej ładnych domów i widzimy piękniejsze stroje niż dawniej, a wszystko kosztuje podobno taniej; ale mamy pustki w kieszeni. Ogarnęła nas gorączka życia na pokaz, zjadają nas długi. Ale pan Cardonnet wcale tego nie chciał, on robi dużo dobrego i gdyby nie on, zginęlibyśmy marnie. Służmy więc panu Cardonnet: niech zostanie merem, prefektem, deputowanym, ministrem, królem, jeśli to możliwe, a będziemy uratowani!” W taki to sposób, panowie, wyjechałbym na grzbietach innych, gdybym był panem Cardonnet, i jestem pewien, że pan Cardonnet to właśnie zrobić zamierza. Powiedzcie teraz, że niesłusznie patrzę na niego tak złym okiem, że kraczę jak kruk, że nic z tego, co przepowiadam, się nie stanie. Dałby Bóg, byście mieli rację! Ale ja czuję, że z daleka nadciąga chmura gradowa. Jedną tylko nadzieją mnie trzyma – to, że ta rzeczka będzie mądrzejsza od ludzi, że nie da się okiełznać tym pięknym mechanizmom, które jej kładą w zęby, i że pewnego pięknego poranku wierzgnie tym wszystkim fabrykom pana Cardonnet w nos tak mocno, że odechce mu się z nią bawić i zabierze stąd swoje kapitały i wszystko, co za tym idzie. Teraz i ja skończyłem. A jeśli wypowiedziałem zbyt śmiały sąd, niech Bóg, który mnie słyszał, mi przebaczy!

Wieśniak mówił z wielkim zapalem. Ogień głębokiego przekonania tryskał z jego jasnych oczu, a uśmiech bólu i oburzenia błąkał się po drgających wargach. Podróżny przyglądał się tej wyrazistej twarzy ocienionej gęstą szpakowatą brodą, twarzy, na której zmęczenie, wiatr i słońce, a może i cierpienie wycisnęły swe piętno, i pomimo iż słowa jego sprawiały mu ból, wydawał mu się piękny i podziwiał łatwość, z jaką bez ogródek wyrażał swoje myśli z wrodzoną elokwencją, tchnącą szczerością i miłością prawdy; gdyż jeśli jego słowa, których szorstkość złagodziliśmy trochę, były prostackie, a czasem nawet brutalne, z gestu jego przebijała energia, a ton głosu nakazywał uwagę. Głęboki smutek ogarniał słuchaczy, podczas gdy wieśniak z prostotą i nie licząc się z żadnymi względami kreślił portret wytrwałego i bezdusznego bogacza. Wino nie podziało na niego ani trochę, a ilekroć podniósł oczy na młodzieńca, zdawał się zapuszczać wzrok aż na dno jego serca i brać go na surowe przesłuchanie. Pan Antoni, nieco przytłoczony oparami wina, nie uронił jednak ani słowa z tego przemówienia i poddając się jak zawsze przewadze tej duszy bardziej od niego hartownej od czasu do czasu wzdychał ciężko.

A kiedy wieśniak zamilkł:

– Niech ci Pan Bóg przebaczy, jeśli go źle sądzisz, przyjacielu – rzekł wznosząc szklanę, jakby ofiarowywał ją bóstwu – a jeśli odgadłeś prawdę, niechaj Opatrzność raczy odwrócić podobną klęskę, zanim spadnie ona na głowy ubogich i słabych!

– Proszę mnie posłuchać, panie hrabio, i pan także, mój przyjacielu – wykrzyknął młodzieniec ujmując w obie dłonie ręce swoich gospodarzy – Bóg, który słyszy każde ludzkie słowo i czyta w ich sercach, wie, iż nie należy się lękać podobnych nieszczęść i że wasze obawy są urojeniem. Znam człowieka, o którym mówicie, znam go dobrze; a choć twarz jego jest zimna, charakter uparty, umysł czynny i potężny, ręczę wam, że intencje jego są szczerze i że potrafi użyć swej fortuny dla szlachetnych celów. Przyznaję, że jest coś przerażającego w jego sile woli, i nie dziwię się, że jego nieugięta postawa mogła przyprowadzić was o zawrót głowy, jakby jakaś nadprzyrodzona istota pojawiła się wśród waszych cichych pól; jednakże ta siła ducha oparta jest na podstawach moralnych i religijnych, które sprawiają, że jeśli nie jest najłagodniejszym i najuprzejmiejszym z ludzi, to w każdym razie jest jak najbardziej sprawiedliwym i po królewsku hojnym.

– No, to tym lepiej, do kroćset! – odrzekł hrabia trącając szklanką o szklankę wieśniaka. – Piję jego zdrowie i rad jestem, że mogę szanować człowieka, którego gotów byłem przeklinać. A ty nie bądźże taki uparty i zawierz temu młodzieńcowi, który mówi, jakby z książki czytał, i który więcej wie od nas obu. Przecież powiedział ci, że zna Cardonneta, że go zna dobrze, czego chcesz jeszcze? Ręczy nam za niego. A więc możemy być spokojni. A teraz, moi drodzy, chodźmy spać – dodał hrabia, zachwycony, że może przyjąć rękojmię za człowieka, którego znał mało, od człowieka, którego nie znał wcale, nawet z nazwiska – jedenasta bije, to niezwykle późna godzina.

– Pożegnam pana – rzekł podróżny – i odjadę prosząc o pozwolenie powrócenia tu niebawem, by podziękować panu za tyle okazanej mi uprzejmości.

– Nie odjedzie pan dziś wieczór – wykrzyknął pan Antoni – to niemożliwe, deszcz leje jak z cebra, drogi nie widać, ciemno choć oko wykol. Jeśli pan uprze się i odjedzie, nie chcę pana już więcej widzieć na oczy.

Nalegał tak serdecznie, a burza rozszalała się istotnie z taką siłą, że młodzieniec zmuszony był przyjąć ofiarowaną gościnę.

Sylwin Charasson, takie imię nosił paż zamku Châteaubrun, przyniósł latarnię i pan Antoni, biorąc pod rękę podróżnego, poprowadził go poprzez gruzy swej siedziby w poszukiwaniu jakiegoś zacisznego kąta.

Rodzina de Châteaubrun zamieszkiwała wszystkie piętra czworokątnej wieży; ale poza tą częścią zamku, która ocalała, a którą świeżo odnowiono, znajdowała się po przeciwległej stronie dziedzińca wieża – najstarsza, najwyższa, o najgrubszych murach, najbardziej oporna

zniszczeniu część zamku; mieszczące się w niej jedna nad drugą sale miały kamienne sklepienia, jeszcze masywniejsze niż w czworokątnej wieży. Czarna banda, która przed kilku laty nabyła ten zamek, by go rozebrać, i która wywiozła stąd wszystko drzewo i wszystko żelastwo aż do najmniejszych zawiasów od drzwi, nie zniszczyła wnętrza dolnych pięter i pan Antoni kazał oczyścić i zamknąć jedno z nich; służyło mu ono w tych rzadkich wypadkach, kiedy mógł udzielić komuś gościny. Był to dla poczciwca nie lada zbytek: trzeba było wstawić drzwi i okna, umieścić łóżko i kilka krzeseł w pokoju, bez którego rodzina mogła się łatwo obejść. Zdobył się na to z radością, tłumacząc Janilli: „Być dobrym to jeszcze za mało, trzeba pomyśleć o tym, by móc dać przyzwoity nocleg bliźniemu.” A jednak kiedy młodzieniec wszedł do tej strasznej feudalnej wieżycy, poczuł się jak w więzieniu, serce mu się ścisnęło i byłby chętnie towarzyszył wieśniakowi, który wraz z Sylwinem Charasson poszedł spać na świeżą słomę. Pan Antoni wszakże był tak dumny i rad, że pomimo niedostatku może pochwalić się gościnnym pokojem, iż młodzieniec nie mógł odmówić przyjęcia noclegu w tym ponurym średniowiecznym więzieniu.

Co prawda, na obszernym kominku palił się suty ogień, a posłanie, składające się z górowatej pierzyny położonej na ogromnym sienniku wypchanym owsianymi plewami, nie było bynajmniej do pogardzenia. Wszystko tu było ubogie i czyste. Młodzieniec odpędził niebawem smutne myśli, które musiałyby opaść każdego, komu wypadłoby w podróży znaleźć schronienie w podobnym miejscu, i pomimo huku piorunów, krzyku ptaków nocnych, wstrząsającego oknami wycia wiatru i szmeru deszczu, pomimo iż szczury przypuszczały wściekły szturm do drzwi jego pokoju, wkrótce zapadł w głęboki sen.

Jednakże sen jego zakłócały dziwne widzenia, a nawet nad ranem męczył go koszmar, tak jakby było rzeczą niemożliwą spędzić noc w miejscu splamionym tajemnymi zbrodniami feudalizmu i nie stać się pastwą dręczących wizji. Zdawało mu się, że do pokoju wszedł pan Cardonnet, a kiedy młodzieniec usiłował zerwać się z łóżka, chcąc wybiec mu na spotkanie, widmo dało rozkazujący znak, by się nie ruszał, po czym zbliżyło się do niego z obojętną miną, padło mu na piersi, nie odpowiadając ani słowem na jego skargi, a jego kamienna twarz nie zdradzała ani śladu litości nad męką, jaką zadawał swojej ofierze.

Przytłoczony tym potężnym ciężarem, uspijony młodzieniec rzucał się na próżno przez jakiś czas, który jemu zdawał się wiekiem, i zaczynał już rzeźić jak w agonii, kiedy wreszcie udało mu się obudzić. Lecz chociaż wstawał już dzień, choć widział wyraźnie wnętrze wieży, był nadal tak pod wrażeniem swego snu, że wciąż jeszcze miał przed oczami tę twarz niewzruszoną, czuł brzemień ciała ciężkiego jak góra spiżowa, która przytłaczała jego omdlewającą, zdruzgotaną pierś. Wstał i obszedł kilka razy pokój dokoła, po czym znów położył się do łóżka; chociaż bowiem zamierzał wyjechać bardzo wcześnie, poczuł przemożne znużenie. Ledwo jednak przymknął powieki, widmo znowu zaczęło go dusić, aż wreszcie, czując, że ginie, młodzieniec krzyknął przerywanym głosem: „Ojcze, mój ojczcie! Co ci uczyniłem i czemu postanowiłeś być mordercą rodzzonego syna?”

Obudził go dźwięk własnego głosu, a widząc, że mara znowu go prześladowe, pobiegł otworzyć okno. Z chwilą gdy chłód poranku przeniknął do tego pokoju o niskim suficie, gdzie panowała jakaś atmosfera letargu, zjawia pierzchła, młodzieniec zaś począł ubierać się z pośpiechem, by uciec z miejsca, gdzie stał się igraszką tak okrutnych urojeń. Ale pomimo wysiłków, aby uwolnić się od tego wrażenia, nie przestawała go przytłaczać bolesna udręka, zaś „gościnny pokój” na zamku Châteaubrun wydał się jeszcze bardziej grobowy niż w przeddzień. W szarym i ponurym świetle budzącego się dnia młodzieniec mógł wreszcie zobaczyć przez okno całość zameczyska.

Była to w całym tego słowa znaczeniu kupa gruzów, wspaniałe jeszcze szczątki wielkopańskiej siedziby, budowanej w różnych epokach. Na skraju dziedzińca obrosłego gęstą trawą, w której nieliczna rodzina wydeptała zaledwie dwie czy trzy ścieżynki wiodące od wielkiej do małej wieży i od studni do bramy wjazdowej, na wprost jego okna widniały

walące się mury. Można w nich było rozpoznać fundamenty i rozmieszczenie kilku budowli, między innymi wytwornej kaplicy, której szczyt uwieńczony piękną rozetą oplecioną bluszczem trzymał się jeszcze jako tako. W głębi podwórza, którego środek zajmowała ogromna studnia, wznosił się na wpół zburzony kadłub tego, co stanowiło niegdyś główną część gmachu, właściwą siedzibę panów de Châteaubrun od czasów Franciszka I aż do rewolucji. Budowla ta, ongiś okazała, teraz tylko bezkształtny szkielec przeświecający na wszystkie strony, robiła wrażenie dziwnego chaosu, osunięcie się zaś wewnętrznych ścian i stropów sprawiało, że szkielec ten wydawał się niepomiarnie wysoki. Wieże, służące niegdyś za klatki schodów o pięknej spiralnej linii, wielkie sale malowane *al fresco*, przepyszne, rzeźbione w kamieniu obramowania kominów – niczego nie oszczędził młot niszczyciela; nieliczne zaś szczątki tych wspaniałości, których nie można było osiągnąć, by je zburzyć, jakieś resztki bogato ornamentowanych fryzów, jakieś girlandy liści dłuta zręcznych rzemieślników Odrodzenia, nawet tarcze z herbami Francji przecięte linią bastardów, wszystko to rzeźbione w pięknym, białym kamieniu, którego czas nie zdołał jeszcze przyćmić, przedstawiało smutny widok dzieła sztuki oddanego na pastwę brutalnym prawom bezwzględnej konieczności.

Kiedy spojrzenie młodego Cardonnet przeniosło się znowu na małą wieżę, gdzie zamieszkiwał teraz ostatni potomek znakomitego i bogatego rodu, przejęło go współczucie na myśl, że żyje tam młoda dziewczyna, której pradziad posiadał cały zastęp paziów, wasali, sfory psów, kosztowne konie, podczas gdy przyszła spadkobierczyni tych przeraźliwych ruin chodzi może jak księżniczka Nauzykaa prac sama bieliznę do źródła.

W chwili gdy myśl ta mu się nasunęła, dostrzegł, że na najwyższym piętrze czworokątnej wieży otwiera się małe okrągłe okienko i głowa kobieca osadzona na najpiękniejszej szyi, jaką można sobie wyobrazić, wychyliła się, jakby chcąc powiedzieć coś osobie stojącej na dziedzińcu. Emil Cardonnet, chociaż należał do pokolenia krótkowidzów, miał doskonały wzrok, odległość zaś nie była tak znaczna, by nie mógł dojrzeć rysów tej wdzięcznej, jasnej główki, której nieco splecione włosy rozwiewał wiatr. Wydała mu się taką, jaką była w istocie: głową anioła opromienioną świeżym urokiem młodości, łagodną i szlachetną zarazem. Dźwięk jej głosu, który do niego dolatywał, był pełen czaru, a wymowa nacechowana wytwornością.

– Janie – mówiła – chyba deszcz padał przez całą noc? Popatrz tylko, woda zalała dziedziniec! A z mojego okna wszystkie łąki wyglądają jak stawy.

– Istny potop, moje dziecko – odpowiedział z dołu wieśniak, który zdawał się być zażyłym przyjacielem całej rodziny – prawdziwie wodna nawałnica! Nie wiem, czy to nad nami, czy gdzie indziej oberwała się największa chmura, ale nigdy jeszcze nie widziałem, żeby było tak pełno wody w studni.

– Drogi pewnie zerwane, lepiej zostańcie u nas, Janie. Czy ojciec mój się obudził?

– Jeszcze nie, Gilberto, ale stara Janilla jest już na nogach.

– Bądź tak dobry i poproś, żeby do mnie przyszła, mój drogi. Chcę ją o coś zapytać.

– Już do niej biegnę.

Okienko się zamknęło, a młoda dziewczyna zdawała się nie widzieć, że okno podróznego jest otwarte, on zaś stał w nim, wpatrzony w nią jak w obraz.

W chwilę potem był już na dziedzińcu; deszcz istotnie wyłłobił strumyki tam, gdzie przedtem biegły ścieżki. W stajni zastał Sylwina Charasson; czyszcząc konie gościa i swego pana, dzielił się uwagami o następstwach burzliwej nocy z wieśniakiem, którego imię Emil Cardonnet poznał wreszcie. Człowiek ów wzbudził w nim w przeddzień jakiś dziwny niepokój, tak jakby nosił w sobie jakąś fatalną tajemnicę. Młodzieniec zauważył, że pan Antoni nie nazwał ani razu wieśniaka po imieniu i że kiedy Janilla miała je już kilkakrotnie na końcu języka, powstrzymał ją ostrzegawczym spojrzeniem.